

Wywiad z Przełożonym Generalnym, ks. Fabio Attardem

*Udało nam się przeprowadzić ekskluzywny wywiad z Przełożonym Generalnym Salezjanów, ks. Fabio Attardem, w którym omówiliśmy najważniejsze etapy jego powołania oraz drogi ludzkiej i duchowej. Jego powołanie narodziło się w oratorium i umocniło się dzięki bogatej formacji, która zaprowadziła go z Irlandii do Tunezji, z Malty do Rzymu. W latach 2008-2020 był Radcą Generalnym ds. Duszpasterstwa Młodzieżowego, pełniąc tę funkcję z wielokulturową wizją, którą zdobył dzięki doświadczeniom w różnych kontekstach. Jego głównym przesłaniem jest **świętość** jako fundament działalności wychowawczej salezjanów: „Chciałbym widzieć Zgromadzenie bardziej święte” – mówi, podkreślając, że profesjonalizm musi być zakorzeniony w tożsamości konsekrowanej.*

Jaka jest historia Księdza powołania?

Urodziłem się na Gozo na Malcie 23 marca 1959 r. jako piąte z siedmiorga dzieci. W czasie moich narodzin mój ojciec pracował jako farmaceuta w szpitalu, a matka otworzyła mały sklep z tkaninami i krawiectwem, który z czasem rozrósł się do małej sieci pięciu sklepów. Była bardzo pracowitą kobietą, ale działalność pozostała rodzinna.

Uczęszczałem do lokalnych szkół podstawowych i średnich. Bardzo pięknym i szczególnym elementem mojego dzieciństwa było to, że mój ojciec był świeckim katechistą w oratorium, które do 1965 roku było prowadzone przez salezjanów. Jako młody człowiek uczęszczał do tego oratorium, a następnie pozostał tam jako jedyny świecki katechista. Kiedy zacząłem tam uczęszczać w wieku sześciu lat, salezjanie właśnie opuścili tę placówkę. Zastąpił ich młody ksiądz (który nadal żyje), który

kontynuował działalność oratorium w tym samym duchu salezjańskim, ponieważ sam przeżył tam okres seminarium.

Kontynuowano katechezę, codzienne błogosławieństwo eucharystyczne, piłkę nożną, teatr, chór, wycieczki, festyny... wszystko to, co zwykle dzieje się w oratorium. Było tam wiele dzieci i młodzieży, a ja dorastałem w tym środowisku. Praktycznie całe moje życie toczyło się między rodziną a oratorium. Byłem również ministrantem w mojej parafii. Po ukończeniu szkoły średniej skierowałem się ku kapłaństwu, ponieważ od dziecka nosiłem to pragnienie w sercu.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, jak bardzo wpłynął na mnie ten młody ksiądz, którego podziwiałem: zawsze był z nami na podwórku, podczas zajęć w oratorium. Jednak w tamtym czasie salezjanów już tam nie było. Wstąpiłem więc do seminarium, gdzie w tamtych czasach odbywało się dwa lata przygotowań jako internista. Na trzecim roku – który odpowiadał pierwszemu rokowi studiów filozoficznych – poznałem przyjaciela rodziny, około 35-letniego mężczyznę, który jako dorosły poszedł do życia zakonnego i wstąpił do salezjanów jako aspirant (dziś nadal żyje i jest koadiutorem). Kiedy podjął tę decyzję, w moim sercu zapłonął ogień. Z pomocą kierownika duchowego zacząłem rozeznawać powołanie.

Była to ważna, ale także wymagająca droga: miałem 19 lat, lecz ten przewodnik duchowy pomógł mi szukać woli Bożej, a nie tylko mojej. Ostatni rok – czwarty rok studiów filozoficznych – zamiast podążać za nim do seminarium, spędziłem jako aspirant salezjański, kończąc wymagane dwa lata studiów filozoficznych.

W mojej rodzinie panowała silna wiara. Codziennie uczestniczyliśmy we Mszy św., odmawialiśmy różaniec w domu, byliśmy bardzo zżyci. Nawet dzisiaj, mimo że nasi rodzice są już w niebie, zachowujemy tę samą jedność między braćmi i siostrami.

Głęboko naznaczyło mnie również inne doświadczenie rodzinne, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero z czasem. Mój brat, drugi w rodzinie, zmarł w wieku 25 lat z powodu niewydolności nerek. Dzisiaj, dzięki postępom medycyny, nadal by żył dzięki dializom i przeszczepom, ale wtedy nie było takich możliwości. Byłem przy nim przez ostatnie trzy lata jego życia: dzieliliśmy ten sam pokój i często pomagałem mu w nocy. Był spokojnym, wesołym młodym człowiekiem, który swoją kruchotę przeżywał z niezwykłą radością.

Miałem 16 lat, kiedy zmarł. Minęło pięćdziesiąt lat, ale kiedy wspominam tamten czas i codzienne doświadczenie bliskości, składające się z drobnych gestów, zdaję sobie sprawę, jak bardzo wpłynęło to na moje życie.

Urodziłem się w rodzinie, w której panowała wiara, poczucie obowiązku i wspólna odpowiedzialność. Moi rodzice są dla mnie niezwykłym przykładem: z wielką wiarą i spokojem znosili krzyż, nigdy nie obciążając nikogo, a jednocześnie potrafili przekazać radość życia rodzinnego. Mogę powiedzieć, że miałem bardzo piękne dzieciństwo. Nie byliśmy bogaci ani biedni, ale zawsze skromni i dyskretni. Nauczono nas pracować, dobrze gospodarować zasobami, nie marnować, żyć z godnością, elegancją, a przede wszystkim z troską o biednych i chorych.

Jak zareagowała Księżna rodzina, kiedy podjął Ksiądz decyzję o poświęceniu się życiu zakonnemu?

Nadszedł moment, w którym wraz z moim kierownikiem duchowym ustaliliśmy, że moja droga prowadzi do salezjanów. Musiałem również poinformować o tym moich rodziców. Pamiętam, że był to spokojny wieczór, jedliśmy razem, tylko we trójkę. W pewnym momencie powiedziałem: „Chcę wam coś powiedzieć: rozeznałem i postanowiłem wstąpić do salezjanów”.

Mój ojciec był bardzo szczęśliwy. Odpowiedział natychmiast: „Niech Pan ci błogosławi”. Moja mama natomiast zaczęła płakać, tak jak to robią wszystkie mamy. Zapytała mnie: „Więc

odchodzisz?”. Ale mój ojciec interweniował łagodnie i stanowczo: „Niezależnie od tego, czy odejdzie, czy nie, to jest jego droga”.

Pobłogosławili mnie i dodali otuchy. To chwile, które pozostają w pamięci na zawsze.

Szczególnie pamiętam to, co wydarzyło się pod koniec życia moich rodziców. Mój ojciec zmarł w 1997 roku, a sześć miesięcy później u mojej matki wykryto nieuleczalnego raka.

W tym czasie przełożeni poprosili mnie, abym został wykładowcą na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim (UPS), ale nie wiedziałem, jaką decyzję podjąć. Moja mama nie czuła się dobrze, była już bliska śmierci. Rozmawiając z moimi braćmi, powiedzieli mi: „Rób to, o co proszą cię przełożeni”.

Byłem w domu i porozmawiałem z nią: „Mamo, przełożeni proszą mnie, abym wyjechał do Rzymu”.

Ona, z jasnością umysłu prawdziwej matki, odpowiedziała: „Posłuchaj, synu, gdyby to zależało ode mnie, poprosiłabym cię, żebyś został tutaj, ponieważ nie mam nikogo innego i nie chciałabym być ciężarem dla twoich braci. Ale...” – i tu wypowiedziała zdanie, które noszę w sercu – „Nie należysz do mnie, należysz do Boga. Rób to, co mówią ci przełożeni”.

To zdanie, wypowiedziane rok przed jej śmiercią, jest dla mnie skarbem, cennym dziedzictwem. Moja mama była inteligentną, mądrą i przenikliwą kobietą: wiedziała, że choroba doprowadzi ją do końca, ale w tym momencie potrafiła być wewnętrznie wolna. Wolna, by wypowiedzieć słowa, które po raz kolejny potwierdziły dar, jaki sama ofiarowała Bogu: oddanie syna życiu konsekrowanemu.

Reakcja mojej rodziny, od początku do końca, zawsze była naznaczona głębokim szacunkiem i ogromnym wsparciem. Nawet dzisiaj moi bracia i siostry nadal podtrzymują tego ducha.

Jaka była Księdza droga formacyjna od nowicjatu do dzisiaj?

Była to bardzo bogata i różnorodna droga. Rozpoczęłam prenowicjat na Malcie, a następnie nowicjat w Dublinie w Irlandii. To było naprawdę piękne doświadczenie.

Po nowicjacie moi towarzysze przenieśli się do Maynooth, aby studiować filozofię na uniwersytecie, ale ja już wcześniej ukończyłam studia. Dlatego przełożeni poprosili mnie, abym pozostał w nowicjacie przez kolejny rok, gdzie uczyłem języka włoskiego i łaciny. Następnie wróciłem na Maltę, aby odbyć dwuletnią asystencję, która była piękna i ubogacająca.

Następnie wysłano mnie do Rzymu, aby studiować teologię na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim, gdzie spędziłem trzy niezwykle lata. Te lata bardzo otworzyły mi umysł. Mieszkaliśmy w akademiku z czterdziestoma braćmi z dwudziestu różnych krajów: Azji, Europy, Ameryki Łacińskiej... Nawet kadra nauczycielska była międzynarodowa. Była to połowa lat 80., około dwadzieścia lat po Soborze Watykańskim II, i nadal panowała atmosfera wielkiego entuzjazmu: toczyły się ożywione dyskusje teologiczne, pojawiła się teologia wyzwolenia, zainteresowanie metodą i praktyką. Studia te nauczyły mnie postrzegać wiarę nie tylko jako treść intelektualną, ale jako wybór życia.

Po tych trzech latach kontynuowałem studia specjalizacyjne z teologii moralnej w Akademii Alfonsiańskiej u ojców redemptorystów. Tam również spotkałem znaczące postaci, takie jak słynny Bernhard Häring, z którym nawiązałem osobistą przyjaźń i regularnie co miesiąc chodziłem do niego na rozmowy. W sumie było to pięć lat – między licencjatem a dyplomem – które głęboko ukształtowały mnie pod względem teologicznym.

Następnie zgłosiłem się na misję, a przełożeni wysłali mnie wraz z innym salezjaninem do Tunezji, aby przywrócić obecność salezjanów w tym kraju. Przejęliśmy szkołę prowadzoną przez

zgromadzenie sióstr, które z powodu braku powołań miało zostać zamknięte. Była to szkoła z 700 uczniami, więc musieliśmy nauczyć się francuskiego, a także arabskiego. Aby się przygotować, spędziliśmy kilka miesięcy w Lyonie we Francji, a następnie poświęciliśmy się nauce arabskiego.

Zostałem tam trzy lata. Było to kolejne wielkie doświadczenie, ponieważ znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie można było otwarcie mówić o Jezusie, a jednocześnie żyliśmy wiarą i charyzmatem salezjańskim. Można było jednak budować ścieżki edukacyjne oparte na wartościach ludzkich: szacunku, gotowości do pomocy, prawdzie. Nasze świadectwo było ciche, ale wymowne. W tym środowisku poznałem i pokochałem świat muzułmański. Wszyscy – uczniowie, nauczyciele i rodziny – byli muzułmanami i przyjęli nas bardzo serdecznie. Sprawili, że poczuliśmy się częścią ich rodziny. Wielokrotnie wracałem do Tunezji i zawsze spotykałem się z takim samym szacunkiem i uznaniem, niezależnie od naszej przynależności religijnej.

Po tym doświadczeniu wróciłem na Malte i przez pięć lat pracowałem na polu pomocy społecznej. W szczególności w domu salezjańskim, który przyjmuje młodzież potrzebującą bardziej uważnej opieki wychowawczej, również w formie pobytu stacjonarnego.

Po ośmiu latach pracy duszpasterskiej (w Tunezji i na Malcie) zaproponowano mi możliwość ukończenia doktoratu. Zdecydowałem się wrócić do Irlandii, ponieważ temat był związany z sumieniem według myśli kardynała Johna Henry'ego Newmana, dziś świętego. Po ukończeniu doktoratu ówczesny przełożony generalny, ks. Juan Edmundo Vecchi – niech spoczywa w pokoju – poprosił mnie, abym zostałem wykładowcą teologii moralnej na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim.

Patrząc na całą moją drogę, od aspiranta do doktoratu, mogę powiedzieć, że było to połączenie nie tylko treści, ale także bardzo różnych kontekstów kulturowych. Dziękuję Panu i Zgromadzeniu, ponieważ dali mi możliwość przeżycia tak

różnorodnej i bogatej formacji.

Zna więc Ksiądz język maltański, ponieważ jest to język ojczysty, angielski, ponieważ jest to drugi język na Malcie, łacinę, ponieważ nauczył się jej, włoski, ponieważ studiował we Włoszech, francuski i arabski, ponieważ przebywał w Manouba w Tunezji... Ile języków Ksiądz zna?

Pięć, sześć języków, mniej więcej. Jednak kiedy pytają mnie o języki, zawsze odpowiadam, że to raczej zbieg okoliczności historycznych.

Na Malcie dorastamy już z dwoma językami: maltańskim i angielskim, a w szkole uczymy się trzeciego języka. W moich czasach nauczano również języka włoskiego. Ponieważ miałem naturalne zdolności językowe, wybrałem również łacinę. Później, kiedy wyjechałem do Tunezji, musiałem nauczyć się francuskiego, a także arabskiego.

W Rzymie, mieszkając z wieloma studentami języka hiszpańskiego, ucho przyzwyczało się do tego języka, a kiedy zostałem wybrany Radcą ds. Duszpasterstwa Młodzieży, pogłębiłem nieco swoją znajomość hiszpańskiego, który jest bardzo pięknym językiem.

Wszystkie języki są piękne. Oczywiście, nauka wymaga zaangażowania, studiowania i ćwiczeń. Niektórzy mają do tego większy talent, inni mniej: to kwestia osobistych predyspozycji. Nie jest to jednak ani zasługa, ani wina. To po prostu dar, naturalna predyspozycja.

W latach 2008-2020 pełnił Ksiądz przez dwie kadencje funkcję Radcy Generalnego ds. Duszpasterstwa Młodzieży. Jak pomogło Księdzu to doświadczenie?

Kiedy Bóg powierza nam misję, zabieramy ze sobą cały bagaż doświadczeń, które zgromadziliśmy przez lata.

Żyjąc w różnych kontekstach kulturowych, nie narażałem się na

ryzyko postrzegania wszystkiego przez pryzmat jednej kultury. Jestem Europejczykiem, pochodzę z regionu Morza Śródziemnego, z kraju, który był kolonią angielską, ale miałem szczęście żyć w międzynarodowych, wielokulturowych społecznościach.

Bardzo pomogły mi również lata studiów w UPS. Mieliśmy profesorów, którzy nie ograniczali się do przekazywania treści, ale uczyli nas syntezy, budowania metody. Na przykład, studiując historię Kościoła, rozumieliśmy, jak istotna jest dla zrozumienia patrystyka. Zajmując się teologią biblijną, uczyliśmy się łączyć ją z teologią sakramentalną, moralnością, historią duchowości. Krótko mówiąc, nauczono nas myśleć w sposób organiczny.

Ta umiejętność syntezy, ta architektura myślenia staje się następnie częścią twojej osobistej formacji. Kiedy studiujesz teologię, uczysz się rozpoznawać punkty odniesienia i łączyć je ze sobą. To samo dotyczy propozycji duszpasterskich, pedagogicznych czy filozoficznych. Kiedy spotykasz ludzi o wielkiej głębi, przyswajasz nie tylko to, co mówią, ale także to, jak to mówią, a to kształtuje twój styl.

Kolejnym ważnym elementem jest to, że w momencie wyboru miałem już doświadczenie w środowiskach misyjnych, gdzie religia katolicka była praktycznie nieobecna, i pracowałem z osobami marginalizowanymi i wrażliwymi. Zdobyłem również pewne doświadczenie w środowisku akademickim, a jednocześnie bardzo poświęciłem się towarzyszeniu duchowemu.

Ponadto w latach 2005-2008 – tuż po doświadczeniu w UPS – archidiecezja maltańska poprosiła mnie o założenie Instytutu Formacji Duszpasterskiej, w następstwie synodu diecezjalnego, który uznał taką potrzebę. Arcybiskup powierzył mi zadanie rozpoczęcia działalności od zera. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było stworzenie zespołu złożonego z księży, zakonników, świeckich – mężczyzn i kobiet. Stworzyliśmy nową metodę formacji, która jest stosowana do dziś. Instytut nadal działa bardzo dobrze, a to doświadczenie było w pewnym sensie

cennym przygotowaniem do pracy, którą później wykonywałem w duszpasterstwie młodzieży.

Od samego początku wierzyłem w pracę zespołową i współpracę z osobami świeckimi. Moje pierwsze doświadczenie jako dyrektora było właśnie w tym stylu: stały zespół wychowawczy, dziś nazwalibyśmy to CEP (Comunità Educativo-Pastorale – Wspólnota Wychowawczo-Duszpasterska), spotykający się regularnie, a nie okazjonalnie. Co tydzień spotykaliśmy się z wychowawcami i specjalistami. To podejście, które z czasem stało się metodą, pozostało dla mnie punktem odniesienia.

Do tego dochodzi jeszcze doświadczenie akademickie: sześć lat jako wykładowca na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim, gdzie przybywali studenci z ponad stu krajów, a następnie jako egzaminator i promotor prac doktorskich w Akademii Alfonsiańskiej.

Wierzę, że wszystko to przygotowało mnie do podjęcia tej odpowiedzialności z jasnością umysłu i wizją.

Tak więc, kiedy Zgromadzenie podczas Kapituły Generalnej w 2008 roku poprosiło mnie o objęcie tego stanowiska, miałem już szerokie, wielokulturowe spojrzenie. Pomogło mi to, ponieważ łączenie różnorodności nie było dla mnie trudne: było to dla mnie czymś normalnym. Oczywiście nie chodziło po prostu o stworzenie „sałatki” z różnych doświadczeń: trzeba było znaleźć wspólne wątki, nadać spójność i jedność.

To, czego doświadczyłem jako Radca Generalny, nie było moją zasługą. Uważam, że każdy salezjanin, gdyby miał takie same możliwości i wsparcie Zgromadzenia, mógłby przeżyć podobne doświadczenia i hojnie wnieść swój wkład.

Czy jest jakaś modlitwa, jakieś słówko, których nigdy nie może zabraknąć?

Nabożeństwo do Maryi. W domu wychowaliśmy się na codziennym odmawianiu różańca w rodzinie. Nie był to obowiązek, ale coś

naturalnego: robiliśmy to przed posiłkami, ponieważ zawsze jedliśmy razem. Wtedy było to możliwe. Dzisiaj może mniej, ale wtedy tak się żyło: rodzina zebrana razem, wspólna modlitwa, wspólny posiłek.

Na początku może nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboka była ta pobożność maryjna. Ale z upływem lat, kiedy zaczyna się odróżniać to, co istotne, od tego, co drugorzędne, zrozumiałem, jak bardzo ta matczyna obecność towarzyszyła mi w życiu.

Cześć dla Maryi wyraża się na różne sposoby: codzienny różaniec, kiedy to możliwe; chwila zatrzymania się przed obrazem lub figurą Matki Bożej; prosta modlitwa, ale płynąca z serca. Są to gesty, które towarzyszą drodze wiary.

Oczywiście są pewne stałe punkty: codzienna Eucharystia i codzienna medytacja. Są to filary, które nie podlegają dyskusji, po prostu się je przeżywa. Nie tylko dlatego, że jesteśmy konsekrowani, ale dlatego, że jesteśmy wierzący. A wiarę można żyć tylko ją pielęgnując.

Kiedy ją pielęgnujemy, wzrasta w nas. I tylko wtedy, gdy wzrasta w nas, możemy pomóc, aby wzrastała również w innych. Dla nas, wychowawców, jest to oczywiste: jeśli nasza wiara nie przekłada się na konkretne życie, wszystko inne staje się fasadą.

Te praktyki – modlitwa, medytacja, oddanie – nie są zarezerwowane dla świętych. Są wyrazem uczciwości. Jeśli dokonałem wyboru wiary, mam również obowiązek ją pielęgnować. W przeciwnym razie wszystko sprowadza się do czegoś zewnętrznego, pozornego. A to z czasem nie wytrzymuje próby czasu.

Gdyby mógł Ksiądz cofnąć czas, dokonałby tych samych wyborów?

Absolutnie tak. W moim życiu były bardzo trudne chwile, jak u każdego. Nie chcę uchodzić za „ofiara losu”. Uważam, że każdy

człowiek, aby dorosnąć, musi przejść przez fazy ciemności, chwile rozpacz, samotności, poczucia zdrady lub niesprawiedliwego oskarżenia. Ja przeżyłem takie chwile. Ale miałem łaskę mieć u boku kierownika duchowego.

Kiedy przechodzi się przez takie trudności w towarzystwie kogoś bliskiego, można wyczuć, że wszystko, na co pozwala Bóg, ma sens, ma cel. A kiedy wychodzi się z tego „tunełu”, odkrywa się, że jest się innym, bardziej dojrzałym człowiekiem. To tak, jakbyśmy dzięki tej próbie zostali przemienieni.

Gdybym pozostał sam, ryzykowałbym podjęcie złych decyzji, bez wizji, zaślepiiony trudnością chwili. Kiedy jest się zły, kiedy czuje się samotność, nie jest to czas na podejmowanie decyzji. Jest to czas, aby iść naprzód, prosić o pomoc, pozwolić się towarzyszyć.

Przechodzenie przez pewne etapy z pomocą kogoś innego jest jak ciasto włożone do piekarnika: ogień je piecze, sprawia, że dojrzewa.

Dlatego na pytanie, czy zmieniłbym coś, odpowiadam: nie. Ponieważ nawet najtrudniejsze chwile, nawet te, których nie rozumiałem, pomogły mi stać się osobą, którą jestem dzisiaj.

Czy czuję się osobą doskonałą? Nie. Ale czuję, że jestem na drodze, każdego dnia, starając się żyć przed obliczem miłosierdzia i dobroci Boga.

A dzisiaj, udzielając tego wywiadu, mogę szczerze powiedzieć, że czuję się szczęśliwy. Być może nie do końca rozumiem jeszcze, co oznacza bycie Przełożonym Generalnym – to wymaga czasu – ale wiem, że jest to misja, a nie spacer. Wiąże się to z trudnościami. Czuję jednak, że jestem kochany i szanowany przez moich współpracowników i całe Zgromadzenie.

Wszystko, czym jestem dzisiaj, zawdzięczam temu, czego doświadczyłem, nawet w najtrudniejszych momentach. Nie zmieniłbym ich. Ukształtowały mnie one.

Czy ma Ksiądz jakiś projekt, który jest Księdzu szczególnie bliski?

Tak. Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie coś, czego naprawdę pragnę, chciałbym zobaczyć bardziej święte Zgromadzenie. Bardziej święte. Bardziej święte.

Głęboko zainspirował mnie pierwszy list księdza Pascuala Cháveza z 2002 roku, zatytułowany „Bądźcie świętymi”. Ten list poruszył mnie do głębi, pozostawił ślad.

Projektów jest wiele, wszystkie są wartościowe, dobrze skonstruowane, mają szerokie i głębokie wizje. Ale jaką mają wartość, jeśli są realizowane przez ludzi, którzy nie są święci? Możemy wykonywać doskonałą pracę, możemy być doceniani – co samo w sobie nie jest złe – ale nie pracujemy dla sukcesu. Naszym punktem wyjścia jest tożsamość: jesteśmy osobami konsekrowanymi.

To, co proponujemy, ma sens tylko wtedy, gdy wynika z tego punktu wyjścia. Oczywiście pragniemy, aby nasze projekty odniosły sukces, ale jeszcze bardziej pragniemy, aby przynosiły łaskę, aby poruszały ludzi w głębi serca. Nie wystarczy być wydajnym. Musimy być skuteczni w najgłębszym tego słowa znaczeniu: skuteczni w świadectwie, w tożsamości, w wierze.

Wydajność może istnieć również bez odniesienia do religii. Możemy być doskonałymi profesjonalistami, ale to nie wystarczy. Nasze poświęcenie nie jest szczegółem: jest fundamentem. Jeśli staje się marginalne, jeśli odkładamy je na bok, aby zrobić miejsce dla wydajności, tracimy naszą tożsamość.

A ludzie nas obserwują. W szkołach salezjańskich uznaje się, że wyniki są dobre – i to dobrze. Ale czy uznają nas również za ludzi Boga? Oto jest pytanie.

Jeśli postrzegają nas tylko jako dobrych profesjonalistów, to

jesteśmy tylko wydajni. Ale nasze życie musi karmić się Nim – Drogą, Prawdą i Życiem – a nie tym, co „myślę”, „chcę” lub „wydaje mi się”.

Dlatego zamiast mówić o moim osobistym projekcie, wolę mówić o głębokim pragnieniu: zostać świętym. I mówić o tym konkretnie, nie idealizując.

Kiedy Ksiądz Bosko mówił swoim chłopcom o *nauce, zdrowiu i świętości*, nie miał na myśli świętości polegającej wyłącznie na modlitwie w kaplicy. Myślał o świętości przeżywanej w relacji z Bogiem i karmiącej się relacją z Bogiem. Świętość chrześcijańska jest odbiciem tej żywej, codziennej relacji.

Jakiej rady udzieliłby Ksiądz młodemu człowiekowi, który zastanawia się nad powołaniem?

Powiedziałbym mu, żeby krok po kroku odkrywał, jaki jest plan Boga wobec niego.

Droga powołaniowa nie jest pytaniem, które zadajemy, czekając na gotową odpowiedź ze strony Kościoła. Jest to pielgrzymka. Kiedy ktoś mówi mi: *„Nie wiem, czy zostać salezjaninem”*, staram się odciągnąć go od takiego sformułowania. Nie chodzi bowiem po prostu o podjęcie decyzji: *„Zostanę salezjaninem”*. Powołanie nie jest opcją w odniesieniu do „czegoś”.

Również w moim własnym doświadczeniu, kiedy powiedziałem mojemu kierownikowi duchowemu: *„Chcę zostać salezjaninem, muszę nim być”*, on bardzo spokojnie skłonił mnie do refleksji: *„Czy to naprawdę wola Boża? A może to tylko twoje pragnienie?”*

I to jest słuszne, że młody człowiek szuka tego, czego pragnie, to jest zdrowe. Ale ten, kto towarzyszy, ma za zadanie wychowywać to poszukiwanie, przekształcać je z początkowego entuzjazmu w drogę dojrzewania wewnętrznego.

„Chcesz czynić dobro? Dobrze. Poznaj więc siebie, uznaj, że

jesteś kochany przez Boga”.

Tylko z tej głębokiej relacji z Bogiem może wyłonić się prawdziwe pytanie: „Jaki jest plan Boga wobec mnie?”.

Bo to, czego pragnę dzisiaj, jutro może mi już nie wystarczyć. Jeśli powołanie sprowadza się do tego, co „mi się podoba”, będzie czymś kruchym. Powołanie jest natomiast wewnętrznym głosem, który wzywa, prosi o dialog z Bogiem i o odpowiedź.

Kiedy młody człowiek dociera do tego punktu, kiedy towarzyszy mu ktoś, kto pomaga mu odkryć tę wewnętrzną przestrzeń, w której mieszka Bóg, wtedy naprawdę zaczyna iść.

Dlatego osoba towarzysząca musi być bardzo uważna, głęboka, cierpliwa. Nigdy powierzchowna.

Ewangelia o uczniach z Emaus jest doskonałym obrazem: Jezus podchodzi do dwóch uczniów, słucha ich, choć wie, że mówią chaotycznie. Potem, po wysłuchaniu ich, zaczyna mówić. A oni w końcu zapraszają Go: „Zostań z nami, bo robi się ciemno”.

I rozpoznają Go w geście łamania chleba. Potem mówią do siebie: „Czyż nasze serca nie pałały w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze?”.

Dzisiaj wielu młodych ludzi poszukuje. Naszym zadaniem jako wychowawców jest nie spieszyć się. Ale pomagać im, spokojnie i stopniowo, odkrywać wielkość, która już jest w ich sercach. Ponieważ tam, w tej głębi, spotykają Chrystusa. Jak mówi św. Augustyn: „Ty byłeś we mnie, a ja na zewnątrz. I tam Cię szukałem”.

Czy ma Ksiądz jakieś przesłanie dla Rodziny Salezjańskiej?

To samo przesłanie, które przekazałem w ostatnich dniach podczas spotkania Konsulty Rodziny Salezjańskiej: ***Wiara. Coraz głębsze zakorzenienie w osobie Chrystusa.***

Z tego zakorzenienia rodzi się autentyczna wiedza o Księdzu

Bosko. Pierwsi salezjanie, kiedy chcieli napisać książkę o prawdziwym Księdzu Bosko, nie zatytułowali jej „Ksiądz Bosko apostoł młodzieży”, ale „Ksiądz Bosko z Bogiem” – tekst napisany przez Księdza Eugeniusza Cerię w 1929 roku.

To daje nam do myślenia. Dlaczego oni, którzy widzieli go codziennie w akcji, nie postanowili podkreślić nieustrudzonego Księdza Bosko, organizatora, wychowawcy? Nie, chcieli opowiedzieć o Księdzu Bosko głęboko zjednoczonym z Bogiem.

Ci, którzy dobrze go znali, nie zatrzymali się na pozorach, ale dotarli do sedna: Ksiądz Bosko był człowiekiem zanurzonym w Bogu.

Do Rodziny Salezjańskiej mówię: otrzymaliśmy skarb. Ogromny dar. Ale każdy dar wiąże się z odpowiedzialnością.

W moim przemówieniu końcowym powiedziałem: **„Nie wystarczy kochać Księdza Bosko, trzeba go poznać”**.

A naprawdę możemy go poznać tylko wtedy, gdy jesteśmy ludźmi wiary.

Musimy patrzeć na niego oczami wiary. Tylko w ten sposób możemy spotkać wierzącego, jakim był Ksiądz Bosko, w którym działał z mocą Duch Święty: z *dýnamis*, z *cháris*, z charyzmą, z łaską.

Nie możemy ograniczać się do powtarzania niektórych jego maksym lub opowiadania o jego cudach. Ponieważ ryzykujemy, że zatrzymamy się na anegdotach o Księdzu Bosko, zamiast zatrzymać się na historii Księdza Bosko, ponieważ Ksiądz Bosko jest większy niż Ksiądz Bosko.

Oznacza to studiowanie, refleksję, głębię. Oznacza unikanie wszelkiej powierzchowności.

Wtedy będziemy mogli z prawdziwą pewnością powiedzieć: **„To jest moja wiara, to jest mój charyzmat: zakorzenienie w Chrystusie, podążanie śladami Księdza Bosko”**.

Ksiądz Bosko i procesje eucharystyczne

Mało znany, ale ważny aspekt charyzmatu św. Jana Bosko to procesje eucharystyczne. Dla świętego młodzieży Eucharystia była nie tylko osobistym nabożeństwem, ale narzędziem pedagogicznym i publicznym świadectwem. W zmieniającym się Turynie Ksiądz Bosko widział w procesjach okazję do umocnienia wiary chłopców i głoszenia Chrystusa na ulicach. Doświadczenie salezjańskie, kontynuowane na całym świecie, pokazuje, jak wiara może wcielić się w kulturę i odpowiadać na wyzwania społeczne. Nawet dziś, przeżywane z autentycznością i otwartością, te procesje mogą stać się proroczymi znakami wiary.

Kiedy mówi się o św. Janie Bosko (1815-1888), natychmiast myśli się o jego ludowych oratoriach, o edukacyjnej pasji dla młodzieży i o rodzinie salezjańskiej zrodzonej z jego charyzmatu. Mniej znana, ale nie mniej decydująca, jest rola, jaką nabożeństwo eucharystyczne – a w szczególności procesje eucharystyczne – odegrało w jego dziele. Dla Księdza Bosko Eucharystia była nie tylko sercem życia wewnętrznego; stanowiła również potężne narzędzie pedagogiczne i publiczny znak odnowy społecznej w Turynie, który przechodził szybką transformację przemysłową. Śledzenie związku między świętym młodzieży a procesjami z Najświętszym Sakramentem oznacza wejście do laboratorium duszpasterskiego, w którym liturgia, katecheza, edukacja obywatelska i promocja człowieka przeplatają się w sposób oryginalny, a czasem zaskakujący.

Procesje eucharystyczne w kontekście XIX wieku

Aby zrozumieć Księdza Bosko, należy pamiętać, że XIX-wieczne Włochy przeżywały intensywną debatę na temat publicznej roli

religii. Po epoce napoleońskiej i ruchu zjednoczeniowym, manifestacje religijne na ulicach miast nie były już oczywiste: w wielu regionach kształtowało się liberalne państwo, które z podejrzliwością patrzyło na wszelkie publiczne przejawy katolicyzmu, obawiając się masowych zgromadzeń lub „reakcyjnych” nawrotów. Procesje eucharystyczne zachowały jednak potężną siłę symboliczną: przypominały o panowaniu Chrystusa nad całą rzeczywistością i jednocześnie ukazywały Kościół powszechny, widzialny i wcielony na osiedlach. Na tym tle wyróżnia się upór Księdza Bosko, który nigdy nie zrezygnował z towarzyszenia swoim chłopcom w świadczeniu wiary poza murami oratorium, czy to na ulicach Valdocco, czy w okolicznych wsiach.

Już w latach formacji w seminarium w Chieri, Jan Bosko rozwinął eucharystyczną wrażliwość o „misyjny” smaku. Kroniki opowiadają, że często zatrzymywał się w kaplicy po lekcjach, długo modląc się przed tabernakulum. We *Wspomnieniach Oratorium* sam przyznaje, że od swojego kierownika duchowego, księdza Cafasso, nauczył się wartości „stania się chlebem” dla innych: kontemplowanie Jezusa, który daje się w Hostii, oznaczało dla niego naukę logiki bezinteresownej miłości. Ta linia przechodzi przez całe jego życie: „Bądźcie przyjaciółmi Jezusa w Najświętszym Sakramencie i Maryi Wspomożycielki” – powtarzał młodzieży, wskazując na częstą Komunię i cichą adorację jako filary drogi do świeckiej i codziennej świętości.

Oratorium na Valdocco i pierwsze procesje wewnętrzne

W pierwszych latach czterdziestych XIX wieku oratorium w Turynie nie posiadało jeszcze prawdziwego kościoła. Uroczystości odbywały się w drewnianych barakach lub na dostosowanych dziedzińcach. Ksiądz Bosko nie zrezygnował jednak z organizowania małych procesji wewnętrznych, niemal „prób generalnych” tego, co miało stać się stałą praktyką. Chłopcy nieśli świece i sztandary, śpiewali maryjne pieśni, a na koniec zatrzymywali się wokół improwizowanego ołtarza na

błogosławieństwo eucharystyczne. Te pierwsze próby miały funkcję wybitnie pedagogiczną: przyzwyczajając młodzież do pobożnego, ale radosnego uczestnictwa, łącząc dyscyplinę i spontaniczność. W robotniczym Turynie, gdzie często nędza prowadziła do przemocy, maszerowanie w szeregu z czerwoną chustą na szyi było już sygnałem sprzeciwu: pokazywało, że wiara może wychowywać do szacunku dla siebie i innych.

Ksiądz Bosko dobrze wiedział, że procesji nie improwizuje się: potrzebne są znaki, pieśni, gesty, które przemawiają do serca jeszcze przed umysłem. Dlatego osobiście dbał o wyjaśnienie symboli. Baldachim stawał się obrazem namiotu spotkania, znakiem Bożej obecności, która towarzyszy ludowi w drodze. Kwiaty rozsypane wzdłuż trasy przypominały o pięknie chrześcijańskich cnót, które powinny zdobić duszę. Latarnie, niezbędne podczas wieczornych wyjść, nawiązywały do światła wiary, które rozjaśnia ciemności grzechu. Każdy element był przedmiotem małego, przyjacielskiego „kazania” w refektarzu lub podczas rekreacji, tak że przygotowanie logistyczne przeplatało się z systematyczną katechezą. Rezultat? Dla chłopców procesja nie była rytualnym obowiązkiem, ale okazją do świętowania pełnego znaczenia.

Jednym z najbardziej charakterystycznych aspektów procesji salezjańskich była obecność orkiestry złożonej z samych uczniów. Ksiądz Bosko uważał muzykę za antidotum na bezczynność, a jednocześnie za potężne narzędzie ewangelizacji: „Wesoły marsz dobrze wykonany – pisał – przyciąga ludzi jak magnes żelazo”. Orkiestra poprzedzała Najświętszy Sakrament, przeplatając utwory sakralne z popularnymi melodiami zaadaptowanymi z tekstami religijnymi. Ten „dialog” między wiarą a kulturą ludową zmniejszał dystans do przechodniów i tworzył wokół procesji aurę wspólnego świętowania. Wiele świeckich kronikarzy świadczyło, że byli „zaintrygowani” tą grupą zdyscyplinowanych młodych muzyków, tak różną od ówczesnych orkiestr wojskowych czy filharmonicznych.

Procesje jako odpowiedź na kryzysy społeczne

Turyn w XIX wieku doświadczył epidemii cholery (1854 i 1865), strajków, głodu i napięć antyklerykalnych. Ksiądz Bosko często reagował, proponując nadzwyczajne procesje pokutne lub błagalne. Podczas cholery w 1854 roku prowadził młodzież przez najbardziej dotknięte ulice, głośno odmawiając litanie za chorych i rozdając chleb i lekarstwa. W tym momencie narodziła się obietnica – później spełniona – budowy kościoła Maryi Wspomożycielki: „Jeśli Matka Boża uratuje moich chłopców, wzniosę jej świątynię”. Władze cywilne, początkowo przeciwne religijnym procesjom z obawy przed zarażeniem, musiały uznać skuteczność salezjańskiej sieci pomocy, duchowo zasilanej właśnie przez procesje. Eucharystia, niesiona wśród chorych, stała się w ten sposób namacalnym znakiem chrześcijańskiego współczucia.

W przeciwieństwie do niektórych modeli pobożnościowych zamkniętych w zakrystiach, procesje Księdza Bosko domagały się prawa obywatelstwa wiary w przestrzeni publicznej. Nie chodziło o „zajmowanie” ulic, ale o przywrócenie im ich wspólnotowego powołania. Przechodzenie pod balkonami, przez place i arkady oznaczało przypominanie, że miasto to nie tylko miejsce wymiany ekonomicznej czy konfliktu politycznego, ale także braterskiego spotkania. Dlatego Ksiądz Bosko nalegał na nienaganny porządek: wyczyszczone płaszcze, czyste buty, równe szeregi. Chciał, aby obraz procesji komunikował piękno i godność, przekonując nawet najbardziej sceptycznych obserwatorów, że chrześcijańska propozycja podnosi człowieka.

Salezjańskie dziedzictwo procesji

Po śmierci Księdza Bosko jego duchowi synowie rozpowszechnili praktykę procesji eucharystycznych na całym świecie: od szkół rolniczych w Emilii Romanii po misje w Patagonii, od azjatyckich kolegów po robotnicze dzielnice Brukseli. Ważne było nie tyle ścisłe powielanie piemonckiego rytuału, ile przekazywanie pedagogicznego jądra: młodzieżowego protagonizmu, katechezy symbolicznej, otwartości na otaczające

społeczeństwo. Dlatego więc w Ameryce łacińskiej salezianie włączyli tradycyjne tańce na początku procesji; w Indiach przejęli dywany z kwiatów zgodnie z lokalną sztuką; w Afryce Subsaharyjskiej przeplatali śpiewy gregoriańskie z plemiennymi rytmami polifonicznymi. Eucharystia stała się pomostem między kulturami, realizując marzenie Księdza Bosko o „uczynieniu ze wszystkich narodów jednej rodziny”.

Z teologicznego punktu widzenia procesje Księdza Bosko ucieleśniają silną wizję rzeczywistej obecności Chrystusa. Niesienie Najświętszego Sakramentu „na zewnątrz” oznacza głoszenie, że Słowo nie stało się ciałem, aby pozostać zamknięte, ale aby „rozbić swój namiot wśród nas” (por. J 1,14). Taka obecność wymaga głoszenia w zrozumiałych formach, nie sprowadzając się do intymnego gestu. U Księdza Bosko odśrodkowa dynamika adoracji (zbieranie serc wokół Hostii) generuje dynamikę odśrodkową: młodzi, nakarmieni przy ołtarzu, czują się posłani do służby. Z procesji wypływają mikro-zobowiązania: pomoc choremu koledze, zażegnanie sporu, pilniejsze studiowanie. Eucharystia przedłuża się w „niewidzialnych procesjach” codziennej miłości.

Dziś, w zsekularyzowanych lub wieloreligijnych kontekstach, procesje eucharystyczne mogą budzić pytania: czy są nadal komunikatywne? Czy nie ryzykują, że będą wyglądać jak nostalgiczny folklor? Doświadczenie Księdza Bosko sugeruje, że kluczem jest jakość relacji, a nie ilość kadzidła czy szat. Procesja, która angażuje rodziny, wyjaśnia symbole, integruje współczesne języki artystyczne, a przede wszystkim łączy się z konkretnymi gestami solidarności, zachowuje zaskakującą siłę proroczą. Ostatni Synod o młodzieży (2018) wielokrotnie przypominał o znaczeniu „wychodzenia” i „pokazywania wiary ciałem”. Salezjańska tradycja, z jej wędrowną liturgią, oferuje już sprawdzony paradygmat „Kościoła wychodzącego”.

Procesje eucharystyczne nie były dla Księdza Bosko prostymi tradycjami liturgicznymi, ale prawdziwymi aktami edukacyjnymi, duchowymi i społecznymi. Stanowiły syntezę przeżywaną wiary,

wspólnoty wychowawczej i publicznego świadectwa. Dzięki nim Ksiądz Bosco kształtował młodych ludzi zdolnych do adoracji, szacunku, służby i świadectwa.

Dziś, w świecie rozdrobnionym i rozproszonym, ponowne przedstawienie wartości procesji eucharystycznych w świetle charyzmatu salezjańskiego może być skutecznym sposobem na odnalezienie sensu tego, co najważniejsze: Chrystusa obecnego wśród swojego ludu, który z nim idzie, adoruje go, służy mu i głosi go.

W epoce, która szuka autentyczności, widoczności i relacji, procesja eucharystyczna – jeśli przeżywana zgodnie z duchem Księdza Bosko – może być potężnym znakiem nadziei i odnowy.

Zdjęcie: Shutterstock

Nowy Przełożony Generalny: Fabius Attard

Z radością ogłaszamy, że ks. Fabius Attard jest nowym Przełożonym Generalnym, jedenastym następcą Księdza Bosko.

Krótkie informacje o nowym Przełożonym Generalnym:

Urodzony: 23.03.1959 w Gozo (Malta), diecezja Gozo.

Nowicjat: 1979-1980 w Dublinie.

Profesja wieczysta: 11.08.1985 na Malcie.

Święcenia prezbiteratu: 04.07.1987 na Malcie.

Pełnił różne funkcje duszpasterskie i formacyjne w swojej macierzystej inspektorii.

Przez 12 lat był Radcą Generalnym ds. Duszpasterstwa Młodzieży, 2008-2020.

Od 2020 roku był Delegatem Przełożonego Generalnego ds. Formacji Permanentnej salezjanów i świeckich w Europie.

Ostatnia wspólnota przynależności: Rzym CNOS.

Znane języki: maltański, angielski, włoski, francuski, hiszpański.

Życzymy owocnego apostołstwa ks. Fabio i zapewniamy o naszej modlitwie.